





MARIUSZ BOBER

PODRÓŻ Z KOŁEM W TLE

Historia tej podróży zaczyna się dobre pół wieku temu, kiedy to jeszcze nie było mnie na świecie. A jednak w jakiś sposób już związała się z moimi losami. Gdyby chcieć wprowadzić pewien porządek, to historia ta dotyczy pewnego powozu, pewnego pisarza i, oczywiście, mnie. Pół wieku temu był już ten powóz, był pisarz, nie było jeszcze mnie...

Kiedy pewnego dnia, pełen obaw, wszedłem do Staromiejskiego Domu Kultury w Warszawie, zapukałem do drzwi. Uchyliłem je, wewnątrz siedziało kilku panów debatujących o literaturze. Cichym głosem powiedziałem, że ja na konsultację literacką przyszedłem. Wstał łysawy pan, w okularach na nosie, i zaprosił na piętro, by, jak się okazało, przepytac mnie z literackich zainteresowań. Obok całej tej interesującej dyskusji o literaturze i moich nieśmiałyłch twórczych krokach, w tle tliła się podróż z kołem. I rzeczywiście, ta historia okazała się w tym spotkaniu najciekawsza.

Pół wieku temu, kiedy w Radzynie po ulicach nie poruszały się jeszcze pojazdy spalinowe, na pobliską stację powoli toczył się powóz prowadzony przez mojego pradziadka. Powóz jak powóz. Ten jednak został ku-piony od rodziny Szlubowskich, tak tak, właśnie od TEJ rodziny Szlubowskich. Nigdy na oczy tego powozu nie widziałem, a ponoć stał na naszym podwórku aż do czasu, kiedy nie został sprzedany. Traf chciał, że właśnie pół wieku temu ów pisarz, który ze mną rozmawiał, jechał TYM powozem na pobliską stację, kołyszac się i podziwiając uroki naszej okolicy. A przecież powóz przejeżdżał obok tej samej ulicy, na której dzisiaj mieszkam. I nic pewnie w tym dziwnego. Kiedy, tak siedząc i debatując o moich literackich poczynaniach, ów pisarz zapytał, skąd jestem, okazało się, że i jemu są bliskie te okolice. Że i Lublin. Że kiedyś i przejazdem

Radzyń. Że jechał na pobliską stację, nie wiedząc nawet, że wiezie go mój pradziadek, że toczy się na kołach, które dowiozą go do naszego efemerycznego spotkania. Po powozie nie pozostało nic. No, prawie nic. Zostało tylko jedno koło, które od kilku ładnych lat zdobi nasz domowy ogród. Cóż, wiedziałem, że to od powozu. Że od powozu Szlubowskich. Ale nie przypuszczałem, że gdzieś w jego eterycznym polu tliło się wydarzenie, które zrealizuje się dopiero po pięćdziesięciu latach.

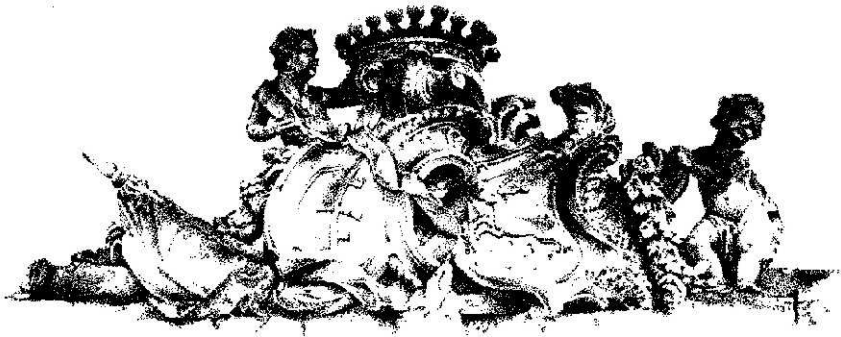
Dzisiaj ten pisarz ma już lat 81, ja 31. On nazywa się Zdzisław Tadeusz Łączkowski, ja Mariusz Bober. On jest personą w świecie polskiej literatury, bo jak być nią nie może, skoro to on promował poezję ks. Twardowskiego, ks. Karola Wojtyły i wielu innych. Skoro ma na swoim koncie mnóstwo książek, publikacji, spotkań. W tych okolicznościach jest mi niezręcznie pisać o Przyjacielu od koła, bo jego życiowa droga potwornie długa i bogata, zatem, jeśli mi wolno w tej niezwykłej historii polecić Ci spotkanie z tym wartościowym człowiekiem, koniecznie sięgnij po jego książki, są w naszej pałacowej bibliotece. A ja? Ja mam ogromną radość, że to koło, spoczywające w moim domowym ogrodzie, wytoczyło, tak nagle, historię, a raczej człowieka-historię, którego w jakiś przedziwny sposób udało mi się spotkać i z nim zaprzyjaźnić.

A koło? Kto wie, może jeszcze niejedną skrywa opowieść, którą ujawni w czasie sobie tylko znanym. A jeśli kiedyś zechcesz je zobaczyć - zapraszam. Stoi dumnie skrywając w sobie kto wie co jeszcze.





AGNIESZKA PAŁKA



Wyłania się z mglistej poświaty
 Gmach co dech w piersiach zapiera
 Wewnątrz przez wiekowe komnaty
 Światło się z trudem przedziera
 Niegdyś kotary muskało z atłasu
 Dziś tylko parkiet pobłyskuje w tle
 A sedno uroku gdzieś ugrzęzło
 W czasie niepospolitym śnie
 W obrazach odżyją Potoccy
 I koń z rydwanu aż zarży
 Usłyszą milczenie samotne
 Którym się pałac im skarży
 Usną na nowo na lat kilkanaście
 Lata przetrwają straszne
 Aż względna myśl draśnie
 Książęce oblicze
 Lecz ono zasnęło na zawsze



DARIUSZ MAGIER

SYN EUROPY CYWILIZACYJNA MYŚL ROMANA DMOWSKIEGO

1.

Roman Dmowski *wymiernie przyczynił się do odzyskania niepodległości; niekwestionowany ojciec polskiej idei narodowej; animator narodowego odrodzenia, czyli demokratycznego rozbudzenia lawy narodu zamkniętej zaskorupiałą powierzchnią; twórca nowoczesnego obozu narodowego; poseł na Sejm Rzeczypospolitej; minister spraw zagranicznych; naukowiec; myśliciel; publicysta; doktor honoris causa Uniwersytetu Cambridge i Uniwersytetu Poznańskiego... by powtórzyć tylko encyklopedyczne zasługi.*

Twórca polskiego nacjonalizmu; patron szowinizmu; faszyzmu; rodzimych czarnosecińców; ojciec obskurantyzmu i antysemityzmu... czytamy w niszowych pisemkach sierot po ideologii rajy na ziemi.

W tym tekście chciałbym pokazać jednak Dmowskiego inaczej, przez pryzmat cywilizacji łacińskiej. Pokazać Dmowskiego, który będąc stuprocentowym Polakiem, potrafił stać się stuprocentowym Europejczykiem. Dmowskiego jako dziedzica Europy Benedyktów (świętego i papieży).

2.

Owoce współczesności jest pozorny konflikt, jaki znamionuje relacje: nacjonalizm idea europejska. Jest on efektem panowania rewolucji: primo - oświeceniowej, czyli rewolucji w ideach; secundo - francuskiej i bolszewickiej, czyli rewolucji w faktach, i... tertio - demokratyczno-liberalnej, jako kontynuatorki rewolucji w faktach.

Zanim rewolucyjna myśl oświeceniowa przeżarła na wskroś mózg *człowieka współczesnego*, Europa była zjednoczona w sposób, o jakim jedynie marzyć mogą współcześni epigoni tzw. integracji. Zjednoczona chrześcijańskim ustrojem o średniowiecznej proveniencji, który znamy pod szerokim pojęciem *Christianitas*. W XIX wieku Europę opanował duch nacjonalizmów. Ale duch ów, w opozycji do *ducha rewolucji*, czyli *ducha oświecenia*, wyrastał wprost z *Christianitas*. Jednym z najważniejszych

bowiem składników nacjonalizmów jest chrześcijaństwo. „Bez tego, co zrobił chrześcijaństwo i Kościół Rzymski w dziejach, nie istniałyby narody dzisiejsze” - napisze Dmowski w pracy *Kościół, Naród, Państwo*. „Dziełem Kościoła było wychowanie indywidualnej duszy ludzkiej, mającej oparcie moralne w swym własnym sumieniu, a stąd posiadającej poczucie obowiązku i odpowiedzialności osobistej”.

W przypadku narodu polskiego taki wpływ miał katolicyzm. Cytujmy nadal ojca polskiej myśli narodowej: „Katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości, zabarwieniem jej na pewien sposób, ale tkwi w jej istocie, w znacznej mierze stanowi jej istotę. Usiłowanie oddzielenia u nas katolicyzmu od polskości, oderwania narodu od religii i od Kościoła, jest niszczeniem samej istoty narodu” (*Kościół, Naród i Państwo*). Tym samym religia katolicka była tym czynnikiem, który „urabiał” narodowego ducha. W cytowanej przed chwilą pracy autor pisze również: „Kościół, bądź jako współpracownik prawa, bądź w walce z nim, urabiał wiekową pracą duszę jednostki, zbliżał ją ku dojrzałości, kształcił w niej sumienie, niszczył pierwotne, utrudniające byt społeczny instynkty, naprawiał obyczaje, [...] tworzył silną rodzinę. [...] Panujący bądź popierali go w tej pracy, bądź przeszkadzali mu, toteż taką pracę mógł wykonać tylko potężny Kościół, powszechny, niezależny od władzy państwowej i zdolny jej się przeciwstawić”. A ruch narodowy stanowił u swych źródeł racjonalną reakcję narodów katolickich na ekspansję rewolucji w łonie Kościoła, przenikającej jednocześnie na łono społeczeństwa, reakcją na ekspansję myśli protestanckiej. „Wielki naród - napisze ojciec polskiego ruchu narodowego - musi nosić wysoko sztandar swej wiary. Musi go nosić tym wyżej w chwilach, w których władze jego państwa nie noszą go dość wysoko, i musi go dzierżyć tym mocniej, im wyraźniejsze są dążności do wytrącenia mu go z ręki” (*Kościół, Naród i Państwo*).

3.

Cywilizacja łacińska to prymat indywidualizmu nad instynktem stadnym. To nieustanny wysiłek przewycięzania uczuć człowieka pierwotnego i zamieniania go w pożytek publiczny. To nieustanne rozbijanie *JA* na *MY* i arena ponadczasowej walki *BYĆ* z *MIEĆ*. Dmowski wskazuje najprostszą drogę przewycięzania tych trudności, którymi obarcza ludzkie bydlę. Myśl Dmowskiego potwierdza, że idea narodowa jest drogą do wywyższenia jednostki, gdyż powstała jako naturalny etap rozwoju społeczeństw wyrosłych z tradycji Zachodu. Tradycji, w której duch i materia egzystencji współżyją w idealnej symbiozie. Ojciec polskiego ruchu narodowego ujmuje to następująco: „Nasza cywilizacja, cywilizacja rzymska, wielkość swoją, swą wyższość nad wszystkimi innymi zawdzięcza przede wszystkim temu, że podniosła jednostkę ludzką i uczyniła ją przedmiotem prawa”. W tym miejscu nawiązuje do tzw. *zdobyczy* rewolucji francuskiej (*idealów* oświecenia), przestrzegając, że nasza cywilizacja widzi jednostkę jako *kommunis* - wspólnotę: w rodzinie, społeczeństwie. Tym samym dobro społeczności stawia ponad prawami jednostki. Pisz: „Zasada [...] praw jednostki wyzwolonej z wszelkich krępujących ją więzów, przeciwstawionej społeczeństwu i państwu pojmowana, jak ją pojęła rewolucja francuska i jak ją pojmuje [...] wiek XX, jest zabójczym wypaczeniem podstaw cywilizacji rzymskiej” (*Zagadnienie rządu*, 1927).

Tymczasem w ciągu kolejnego półwiecza ta anty-kultura zdobywała kolejne przyczółki i nie zdążyliśmy się obejrzeć, jak scheda po cywilizacji łacińskiej (czyli zachodniej, czyli europejskiej) opiera się już li tylko na Kościele Powszechnym. Oto, jak zauważa Dmowski, prawdziwe „dziedzictwo stuleci, dziedzictwo moralne i prawne, będące wynikiem wiekowej pracy Kościoła, państwa, instytucji prawnych, [gdyż] jednostki i społeczeństwa noszą w sobie całą przeszłość” (*Zagadnienie rządu*).

Myśl Dmowskiego jest na wskroś europejska. To myśl otwarta i już tylko talmudycznie zdeklarowani przeciwnicy odważają się



uparcie twierdzić, że jego idea narodowa jest introwertyczna. Przeciwnie, otwiera się na nasz region cywilizacyjny. Na Europę, która stanowić ma teren koegzystencji narodów. Zdrowej koegzystencji, czyli tak współpracy jak i rywalizacji. „Naród, który nie podąża za innymi w cywilizacji, który nie stara się ich wyprzedzić, nie zestarzeje się i nie zginie ze starości, ale za to przez inne zostanie pożarty. Nasz materiał rasowy, jeśli nie będzie szybko zużytkowany przez polską cywilizację ku wytworzeniu polskiej indywidualności narodowej i polskiej siły politycznej, zostanie zagarnięty przez kultury ościenne i przez nie przerobiony”. Konkurencyjność bowiem wynika z rywalizacji, w razie separacji - zaniknie. Jak wyjaśni ideowy uczeń Dmowskiego, Tadeusz Bielecki, to właśnie stanowi „świadomy patriotyzm, normujący całe życie narodowe, patriotyzm na co dzień”.

4.

W nieukończonyj pracy pt. *Duch Europy* przedstawia Roman Dmowski genezę cywilizacji europejskiej, na którą złożyła się kultura grecka, szlif rzymski i duch chrześcijański. „Pogrążonemu w nicości człowiekowi, zauważy Mariusz Bechta, dało chrześcijaństwo wiarę i siłę na przetrwanie. Wyzwolonemu z nakazów moralnych społeczeństwo poddało przykazaniom Bożym. Pychę zastąpiła chrześcijańska pokora, z upodlenia i poniżenia podniosła go wiara w życie wieczne, obojętnego i przepelnionego egoizmem nauczyła miłości bliźniego, zdolnego do aktów miłosierdzia i poświęcenia”. Człowiek wyposażony w oręż chrześcijaństwa nie tylko nie cofa się przed złudną potęgą fizyczną barbarzyństwa, ale kontratakuję przez swą siłę moralną. I zwycięża. Co prawda, jak przekonuje Feliks Koneczny, niższa cywilizacja jest w stanie wyprzeć ideały wyższej, jednakże siła ducha wyższej kultury zawsze jest w stanie oprzeć się pustce idei kultury nie przejawiającej większej wartości. Dlatego tak iluzoryczna jest wszechpotęga dominującej dziś kultury masowej, gdzie narody wyzwolone spod sowieckiej dominacji stały się niewolnikami konsumpcji posuniętej do ostateczności, rozkoszy i dobrego samopoczucia. Któryż to raz w historii dawny niewolnik zachłystuje się wolnością i poddaje trybowi życia, który prowadzi do autodestrukcji. Ciało bierze górę nad duchem - oto najkrótsza definicja odchodzenia od idei Europy, od jej rzeczystych, łacińskich korzeni. „Liczy się tylko dusza, to ona powinna panować nad wszystkim innym” - podkreśli Leon Degrelle, ostatni przedstawiciel „wieku rycerzy”, jeden z tych, co to najpierw odnoszą zwycięstwo nad sobą, a dopiero potem nad innymi. Odejście od indywidualistycznej koncepcji człowieka zrodziło zastanawiające zjawisko strachu przed wolnością, funkcjonujące również w wymiarze intelektualnym.

5.

Uporządkowania myśli, a zwłaszcza ducha, pozazdrościła cywilizacji łacińskiej rewo-

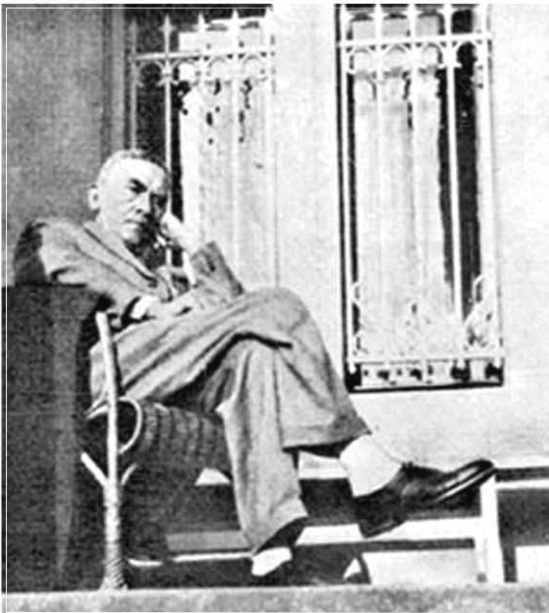
lucja, która jawi się przez to niczym innym jak tylko (powtarzając za de Oliveirą) porównywalną do „tajfunu, trzęsienia ziemi, cyklonu, szalejących sił natury będących materialnymi podobiznami nieokreślonych namiętności człowieka”. Co nie jest Boskie jest szatańskie, a poza Bogiem nie ma Kreatora. Dmowski doskonale zdaje sobie z tego sprawę i jako jeden z najważniejszych archetypów idei narodów europejskich wskazuje chrześcijaństwo. „Bez tego, co zrobił chrystianizm i Kościół Rzymski w dziejach, nie istniałyby narody dzisiejsze” pisze w pracy *Kościół, Naród i Państwo*. „Dziełem Kościoła było wychowanie indywidualnej duszy ludzkiej, mającej oparcie moralne w swym własnym sumieniu, a stąd posiadającej poczucie obowiązku i odpowiedzialności osobistej”.

6.

Realizacja jakichkolwiek projektów poza myślą Boga, jest jedynie mrzonką. Myśl, która nie pochodzi od Stwórcy, jest myślą zaszczepioną przez Odwiecznego Przeciwnika. Szatan zaś, podobnie jak człowiek, nie może być kreatorem, choć za takiego lubi przed człowiekiem uchodzić. Jest tylko Małą Paną Boga, która przerabia stworzenie w jego własną karykaturę. Stąd również pomysł odtworzenia Cesarstwa Rzymskiego - Unii Europejskiej, lecz już bez chrześcijańskich korzeni, co tak dobitnie wyartykułował prezydent Niemiec Johannes Rau podczas obchodów rocznicy Zjazdu Gnieźnieńskiego w 2000 roku. Uniwersalistyczna idea chrześcijańskiego Cesarstwa Rzymskiego na naszych oczach ziszcza się w pogańskie Cesarstwo Paneuropejskie, z „Nowym Kościołem”, nową, mglistą religią, która faktycznie stanowi anty-religię. Jej cele wytknie inny Niemiec, ks. Karol Stehlin, to: „nowy Bóg pozbawiony bezmiaru nieskończonego majestatu; nowy człowiek przypisujący sobie boskie przymioty (wolność, godność, autonomię) i mający jedno tylko zadanie - samo-realizację”.

Roman Dmowski jest nieodrodnym synem Europy łacińskiego ducha. Miara jego osoby wynika z ponadczasowości myśli. Wbrew pozorom jest ona bardzo aktualna.

Dlaczego więc, można spytać, na takie trudności napotyka jej percepcja? Czy wynika ona ze skali tej myśli oraz... zrealizowania części jego postulatów? Być może sami nie zdajemy sobie sprawy z tego, ile pozostało w Polakach z Dmowskiego. Jak pisał Jędrzej Giertych zaraz po śmierci ojca polskiego ruchu narodowego: „Dmowski-pisarz jest jednym z tych wielkich polskich pisarzy, którzy wiążą naszą cywilizację narodową najmocniej i najbardziej organicznie z wielkim światem cywilizacji łacińskiej. Bez większej przesady stwierdzić można, że gdyby nie Dmowski i jego twórczość pisarska to całe oblicze naszego narodu byłoby dzisiaj [...] bez porównania mniej łacińskie i zachodnie, niż jest w rzeczywistości. Zarówno treść poglądów Dmowskiego, na wskroś europejskich, rzymskich, wywodzących się z dziedzictwa cywilizacyjnego Zachodu, świata katolickiego, starej, autentycznej Polski, jak nawet i forma, w której poglądy te zostały wypowiedziane i jako pokarm myślowy narodowi polskiemu dane, forma, której podstawowymi rysami są: rzymska, żelazna logika, łacińska jasność i prostota, łacińska lapidarność, zwężłość, dobitność i siła, są i na zawsze pozostaną w naszym piśmiennictwie jednym z najpotężniejszych faktów sprawiających, że piśmiennictwo to należy na wskroś do zachodniej Europy”.



7.

Funkcjonujący w Polsce stereotyp Polaka-katolika, ku zadziwieniu ignorantów, nieoczekiwanie staje się podstawą optymalnego modelu społeczeństwa. „Nie można być, zauważał Adam Doboszyński, pełnym człowiekiem nie kochając swego narodu, ale miłość ta nie może być ślepa na prawo innych ludzi do miłości do innych narodów. Jest pod słońcem miejsce dla każdego uczucia narodowego bez rwania więzi ogólnoludzkiej”.

Niestety straty polskiej inteligencji konserwatywnej w wyniku okupacji niemieckiej i komunistycznego terroru pozbawiły polskie społeczeństwo antidotum na zarazę tego świata. Eksterminacja elit pozostawiła w społeczeństwie pustkę, której długo nie można będzie zapełnić.

Na koniec przytoczmy jeszcze jeden cytat. Dotyczy on świtu cywilizacji Zachodu, a pochodzi z ostatniej, nieukończonych pracy Romana Dmowskiego, zatytułowanej *Duch Europy*: „Nastąpił ostateczny koniec świata starożytnego. Nie był to wszakże taki koniec, jak innych zaginionych cywilizacji [...]. Rzym oddał polityczne panowanie silnym społecznie ludom barbarzyńskim, ale duchowo nad nimi zapanował; z barbarzyńcy europejskiego wyrósł silny człowiek indywidualny, wychowany przez myśl grecką, prawo i dyscyplinę rzymską, wreszcie, co najważniejsze religię i moralność chrześcijańską. Cywilizacja nowych ludów europejskich stała się dalszym ciągiem cywilizacji antycznej. Było to dziełem Kościoła Rzymskiego, który wziął ludy pod swą władzę duchową i wychował ich umysłowość na podstawach grecko-rzymskich, którym moralną siłę dawała religia Chrystusowa”.

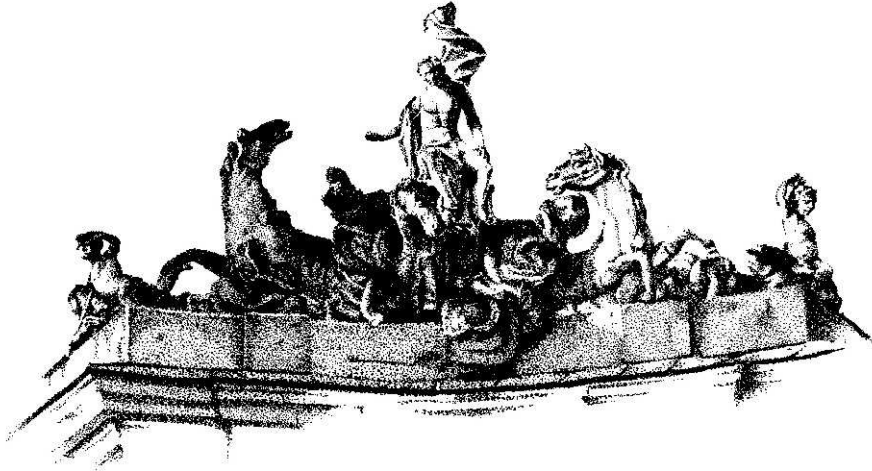
Bibliografia:

- M. Bechta, *W poszukiwaniu utraconego dziedzictwa*, „Templum”, nr 1/2001.
- T. Bielecki, *W szkole Dmowskiego*, Gdańsk 2000.
- L. Degrelle, *Plonące Dusze*, Paryż-Warszawa 2000.
- A. Doboszyński, *Teoria Narodu*, Warszawa 1993.
- P. C. de Oliveira, *Rewolucja i Kontrrewolucja*, Kraków 2001.
- Ks. K. Stehlin, *U źródła kryzysu*, „Zawsze Wierni” 2/2003.





AGNIESZKA PAŁKA



przy rydwanie
wyścig zdobień, wyścig złociń
pustych, błahych
niebanalnych...
żywe rzeźby bez kamienia
bez marmuru zioną nędzą
pyłek, grymas-uśmiech?
wyraz wstydu, nie nagości
barwy bladej
Apollo...



BARBARA JEDLEWSKA
Zakład Pedagogiki Kultury UMCS

OJCZYZNA - LUBELSZCZYzna. DUMA CZY KOMPLEKS PROWINCJI?

Ojczyzna - doskonale pamiętam to słowo jeszcze z dzieciństwa jako jeden z terminów najbardziej wzniosłych i sentymentalnych. Odnosiliśmy je wówczas do całego naszego narodu, kojarzyliśmy z Polską. Z dumą recytowałam wierszyk „Kto Ty jesteś? Polak mały...”. Ze wzruszeniem czytałam słowa Adama Mickiewicza: „Litwo, Ojczyzno moja...” i innych autorów wielkiej literatury, którzy wyrażali swą miłość do ojczyzny. Wiedziałam, że dla nich i wielu innych ludzi Ojczyzna stanowi wartość najwyższą - jak zdrowie, a nawet życie. Czy piękna czy brzydka, czy biedna, czy bogata - nieważne - bo to Ojczyzna - kochana, jedyna, niezastąpiona. Jako dziecko nie wnikałam głębiej w moją ojczystą przestrzeń, nie zastanawiałam się nad jej konkretnymi walorami i mankamentami. Raczej bezwiednie rejestrowałam uroki sadów, pól i lasów małej, podlubelskiej miejscowości, w której przyszłam na świat. To była moja pierwsza, ta najbardziej sentymentalna, ojczyzna. Potem, w wieku kilku lat przeprowadziłam się do Lublina, który stał się moją drugą - i jak dotąd ostatnią - małą ojczyzną. Jednakże z czasów dzieciństwa i młodości najbardziej utkwiło mi przeświadczenie, że mam jedną, jedyną ojczyznę - Polskę. Nie miałam wątpliwości - byłam Polką... z Lublina. Nastąpiły lata wielkich przemian cywilizacyjnych,

zawirowań w sferze wartości i dylematów związanych z tożsamością narodową i kulturową. W obliczu zagrożeń wynikających z procesów globalizacji i unifikacji świata kategoria ojczyzny pojawia się w nowej odsłonie. Mamy do czynienia z nowym wymiarem problemu, bowiem ojczyzna jednocześnie nam się „rozrasta” i „miniaturyzuje”. W sensie narodowym zmienia swój profil ze względu na wchłonięcie jej przez większy organizm. Pod znakiem zapytania staje też ojczysta odrębność kulturowa gdy patrzeć nań z perspektywy ogólnoświatowych tendencji. A dzisiaj jak powiem o sobie - Polka z Europy? Europejka z Lublina? Chyba prościej - jestem Lublinianką, idąc za głosem serca i wskazując konkretne miejsce, to najbardziej „moje”. Jako obywatele kilku ojczyzn stajemy przed dylematem. Każdy z nas ma ojczyznę dużą (w sensie narodu, kontynentu, świata) i tę małą, najbliższą, najbardziej swojską i intymną przestrzeń codziennych doświadczeń, przeżyć, osobistych kontaktów. Którą umiujemy najbardziej? Czy możemy pokochać wszystkie ojczyzny jednakowo? Czujemy się zagubieni. Gorączkowo poszukujemy własnego miejsca na ziemi - przestrzeni intymnej, swojskiej i bezpiecznej. Uwaga kierowana jest w stronę małej ojczyzny - zakątka, gdzie by można poczuć się dziś najlepiej i



najbezpieczniej. I tu pojawia się znowu pytanie - czy takie miejsca istnieją? Jaki jest ich kształt? W jakim stopniu zglobalizowany świat im zagraża?

Pytania te stawiam jako obywatelka „nowego świata”, zbłąkana w labiryncie wielu ojczyzn, mieszkanka jednej z małych ojczyzn i przede wszystkim pedagog. Szukam odpowiedzi, biję się z myślami. Cieszę się, że mam okazję podzielić się swoją refleksją z Czytelnikami nowego pisma „Kozirynek”, za co serdecznie dziękuję ludziom, którzy zaprosili mnie do grona autorów pierwszego numeru.

Niniejszy tekst poświęcam rozważaniom na temat aktualnej sytuacji małych ojczyzn, a w szczególności mojej Ojczyźnie - Lubelszczyźnie, która obecnie przeżywa swoisty dla wielu regionów „kryzys prowincji”. Dedykuję go wszystkim jej mieszkańcom, a przede wszystkim tym osobom, które nie tracą nadziei i kochają, bez względu na stan kryzysowy, oddając jej nie tylko swoje serce, ale cały potencjał myśli i czynów.

Małe ojczyzny w zglobalizowanym świecie

Problematyka małych ojczyzn stanowi aktualny temat rozważany na gruncie różnych dyscyplin naukowych, w publicystyce i rozmowach codziennych. Dyskutowane są kwestie dotyczące obecnej kondycji i przyszłego kształtu, prowadzi się badania postaw mieszkańców, formułuje strategie rozwoju. Mała ojczyzna dla wielu ludzi stanowi wartość niezastąpioną, miejsce zakorzenienia, filar wsparcia, przyjazna przestrzeń, źródło siły i energii - boryka się dziś z poważnymi problemami i wymaga zwiększonej troski. Obecnie podkreśla się konieczność łączenia czynników ideologicznych i emocjonalnych (umacnianie tożsamości, poczucia dumy regionalnej) z utylitarnymi (wartości użyteczne, pragmatyczne kompetencje umożliwiające adaptację i rozwój), gdyż dopiero tak ukształtowany organizm może być zdolny do wygenerowania czynników samorozwoju. Szczególny niepokój budzą te ekspertyzy, z których wynika, iż los małych ojczyzn jest bardzo „kruchy”. Znajdują

się one dziś w szponach wielkiej, zglobalizowanej maszyny, która zagraża nie tylko ich autonomii, ale istnieniu. Zdaniem współczesnych antropologów trudno już teraz mówić o pojedynczej, konkretnej ojczyźnie w wymiarze narodowym i kulturowym w czystej postaci. Mamy natomiast do czynienia z powszechnie narastającym zjawiskiem rozmywania się granic ojczyzny, także tych symbolicznych. Jak dowodzi Gordon Mathews - wielki „supermarket kultury” wyrywa poszczególne kultury „z korzeniami” i składa je na nowo, w pewne całości. W efekcie kształtuje się nowa, „hybrydowa” postać złożona z elementów różnych kultur. Niewykluczone, pisze przywołany antropolog, że takie pojęcia jak „kulturowe korzenie” i „ojczyzna” w przyszłości w ogóle zanikną, a już na pewno stracą swój dotychczasowy sens. Również kategoria małej ojczyzny w wersji tradycyjnej odchodzi w niepamięć i może pozostać jedynie w sferze naszych marzeń. Rodzą się nowe problemy. Czy jesteśmy/będziemy zdolni mówić o małej ojczyźnie w jej nowej postaci?, czy będziemy zdolni, zechcemy podjąć większy wysiłek, by kreować jej przyszłość? A może się poddamy/poddajemy, ulegając naporowi „z zewnątrz” i bardziej lub mniej świadomie godzimy ze swoją nową tożsamością obywatela „wieloojczyznowego”? Jednoznaczna odpowiedź wydaje się trudna, a nawet nie wiem czy w ogóle możliwa, szczególnie w odniesieniu do dalszej przyszłości. Szalone tempo zmian we współczesnym świecie powoduje utrudnienia w przewidywaniu jednej wersji zdarzeń. Zresztą pełna odpowiedź nie jest celem tego opracowania, nie dysponuję też odpowiednim materiałem empirycznym. Koncentruję się zatem na bieżących problemach najbliższego otoczenia mojej małej ojczyzny, którą jest Lubelszczyzna. Rozważam w jakiej jest dziś kondycji, co czują jej obywatele. Czy mówią o niej z dumą, jak kiedyś mówili o Polsce i potrafią ją kochać autotelicznie, taką, jaką jest, piękną, ale ubogą? Czy raczej traktują ją jak „brzydkie kaczątko”, którego się wstydzą, albo „zło konieczne” codziennej udręki, z którym przyszło im się zmagać bez nadziei zmiany na lepsze? Informacji na ten temat dostarczyły mi badania ankietowe, które

od dwóch lat realizuję w ramach autorskiego projektu „Ojczyzna-Lubelszczyzna. Duma czy kompleks prowincji?” na losowo dobranej grupie mieszkańców regionu. Dotychczas zebrałam przeszło trzy tysiące ankiet. Dla celów tego opracowania poddałam analizie 1000 wypowiedzi, które dały podstawę do sformułowania prezentowanych tu wniosków.

Ojczyzna Lubelszczyzna jako prowincja w opinii powszechnej i oczach mieszkańców

Powszechnie mówi się o Lubelszczyźnie, że jest zakątkiem niezwykle urokliwym pod względem przyrodniczym, krajobrazowym, kulturowym, a jednocześnie uważana jest za region ubogi, o wątej kondycji nie tylko w sferze ekonomicznej ale też wielu innych, czego konsekwencją jest marginalna pozycja w kraju i Europie. Polska B, C... a nawet Polska Z. Taką opinię słyszymy niemalże na co dzień. Postrzegana jest jako prowincja w negatywnym sensie, nie tyle z powodu położenia geograficznego, z dala od centrum, ale głównie ze względu na mentalność zamieszkującej tu ludności - zaściankową nieudolność, bezradność, zafocianie w różnych dziedzinach życia. „Republika kartoflana”, „prowincja pszenno-buraczana”, „wiocha zabita dechami”, „ciemnogród” to tylko niektóre przykre, ogólnie znane epitety, jakie padają pod adresem naszego regionu. Negatywny wizerunek sukcesywnie utrwalają lokalne media, które, szczególnie w ostatnim czasie, prawie „na okrągło” bombardują informacjami o trudnej, a wręcz beznadziejnej sytuacji, jak np. „Lubelszczyzna na dzień”, „Niestety Lublin prowincją”, „Lublin miasto bez przyszłości”. Ekspersi „z zewnątrz” dobijają różnymi rankingami, w których Lubelszczyzna wypada fatalnie. Powszechna opinia i atmosfera rzutuje na postawy mieszkańców. Dowiodły tego prowadzone badania, z których wynika, że wpływ ten jest wyraźny i w szczególności dotyczy ludzi młodych, chociaż nie tylko. Wielu mieszkańców traci optymizm. Lubelszczyzna staje się w ich oczach miejscem coraz mniej atrakcyjnym, traci autorytet, wyraźnie zamienia się w śro-



Tomaz Młynarczyk

dowisko ryzyka, bez szans na przyszłość. Apatia i brak wiary w rychłą poprawę sytuacji w naszym regionie powoduje narastanie niebezpiecznych zjawisk, które można określić „syndromem bezradności” i „kompleksem prowincji”. Budzą one niepokój, gdyż szczególnie dotyczą ludzi młodych. Zagrożają bowiem utraceniem kapitału ludzi zdolnych i wykształconych, którzy stąd odchodzą nie widząc dla siebie perspektyw. Na podstawie dotychczas zanalizowanego materiału empirycznego można stwierdzić, że około połowa badanych mieszkańców odczuwa kompleks prowincji. Dla jednej trzeciej respondentów ich mała ojczyzna stanowi powód do dumy, pomimo sytuacji, w jakiej się obecnie znajduje. Pozostałe osoby mają raczej racjonalny niż emocjonalny stosunek do swojej ojczyzny. Znamienne jest to, że większość osób odczuwających kompleks stanowią mieszkańcy dużych miast regionu (w tym Lublina), natomiast najsilniejsze poczucie dumy mają respondenci pochodzący z małych miejscowości i wiosek, a w szczególności mieszkańcy Kazimierza Dolnego, co pozwala nazwać tę miejscowość swoistą „wyspą dumy regionalnej”. Badani postrzegają swój region jako prowincję, zarówno w sensie negatywnym jak i pozytywnym. Biorąc pod uwagę ich postawy wobec swojej małej ojczyzny możemy wskazać trzy grupy respondentów. Pierwszą stanowią mieszkańcy, którzy widzą Lubelszczyznę jako prowincję w sensie negatywnym - zafociany zaścianek, w którym nie da się żyć. Badani dostrzegają jego walory, ale przede wszystkim mankamenty. Są zasmuceni, zirytowani a nawet



📷 Tomasz Młynarczyk

zbulwersowani. Wstydzą się za swoją ojczyznę. Mają sceptyczne nastawienie, cechuje ich postawa bierna. Odczuwają kompleksy niższości. Do drugiej grupy należą osoby, dla których ich region jest prowincją w pozytywnym znaczeniu - cichy zakątek, z dala od głośnego, wielkomiejskiego świata. Są emocjonalnie związani z tym miejscem. Ich zdaniem posiadanie takiej ojczyzny to powód do dumy. Trzecia grupa mieszkańców ma do swojej ojczyzny stosunek bardziej racjonalny niż emocjonalny. Większość z nich zgadza się z powszechną opinią o złej kondycji Lubelszczyzny, ale nie tragizuje, nie wyklina, ani też się zbyt nie rozczula nad pięknem, które obrasta „brzydota”. Są raczej skoncentrowani na tym co zrobić i jak działać, żeby zmienić sytuację na lepsze. Badani mieszkańcy z grupy pierwszej mają na

temat Lublina i regionu bardzo złe zdanie, są pełni smutku, goryczy, irytacji. Czują się pokrzywdzeni, że przyszło im tu mieszkać i żyć, odczuwają kompleks prowincji. Wielu z nich docenia wprawdzie walory przyrodnicze, architektoniczne i inne, ale ich zdaniem tracą one swój blask w obliczu nieskończonej listy mankamentów, do których zaliczają m. in. zacofanie gospodarcze, kulturalne, brak inwestycji, finansów, kapitału obcego, brak możliwości zatrudnienia, brak łączności ze światem (lotnisk, odpowiednich dróg), ogólny marazm i brak kompetentnych ludzi z charyzmą. Za te „grzechy” obwiniają przede wszystkim władze lokalne, którym wytykają nieudacznictwo. Badanych charakteryzuje postawa nieufności wobec władz, innych ludzi. Uważają, że winę za tę sytuację ponoszą inni i oni też powinni ją naprawiać. Sami nastawieni są asekuracyjnie, ale roszczeniowo. Raczej pesymistycznie patrzą w przyszłość, stąd większość planuje „ucieczkę”, by realizować karierę zawodową i zarabiać na życie, nie widząc tutaj szans dla siebie. Dużą grupę wśród osób planujących wyjazd stanowią studenci - marzą o „lepszem świecie” - Europie, Ameryce. Jednak wielu z nich przyznaje, iż obawia się, że może sobie nie poradzić „na obczyźnie”, odczuwa lęk a nawet strach i wyznaje, że wyjedzie stąd z obciążeniem „kompleksu prowincji”. Swoje opinie na temat Lubelszczyzny reprezentanci tej grupy wypowiadali w różnej formie. Jedni czynili to w sposób rzeczowy, w tonie spokojnym i smutnym, inni niemalże „wykrzykiwali” swój „ból” używając niejednokrotnie słów ostrych, aroganckich, a nawet wręcz obelżywych. A oto kilka charakterystycznych wypowiedzi:

„Lubelszczyzna z jednej strony to przepiękne, malownicze swojskie krajobrazy, czyste ekologicznie, atrakcyjne tereny, obszar obfitujący w wiele ważnych miejsc, wydarzeń oraz postaci historycznych. Z drugiej zaś to zapomniana, zacofana wieś, o której zapomniało państwo, które niewiele inwestuje w jej życie. Większość ludzi żyje tutaj bez perspektyw rozwoju. Sąsiedztwo z Ukrainą sprawia, że jesteśmy z nią często utożsamiani przez naszych rodaków z Polski A czy B”.

„Lublin to duża aglomeracja, miasto studenckie a jakoś tak prowincjonalnie! Ogólnie jest szaro, nudno i bez wyrazu. Nic więc dziwnego, że większość moich znajomych chce stąd uciec”.

„Będąc mieszkańcem Lubelszczyzny jest mi czasami wstyd za region, który jest moim domem. Zwłaszcza będąc poza terenem naszego województwa i słysząc opinie ludzi o nim. Najgorsze jest to, że oni często mają rację i nie mogę zareagować i odpowiedzieć. Wstyd mi również, że Lubelszczyzna jest najbiedniejszym regionem w Unii Europejskiej. Traktowani jesteśmy jak Polska drugiej kategorii, typowa prowincja, gdzie można spotkać jedynie bandytów, a niektórzy traktują nas jak Ukraińców!”.

„O demokracji trudno tu mówić jak jest FOLWARK ZWIERZĘCY, jedna świnia zabija drugą. Brak moralności, zakłamanie, łapówkarstwo, ciągły wyścig szczurów, byle do przodu, byle więcej. To jest obraz naszej rzeczywistości Istny chlew! Władza to BANDA! Żaden BURAK na stołku nie pomyśli o innych, tylko o sobie, nie pomyśli, by ściągnąć na Lubelszczyznę wysokie technologie. Dobra już mi się nawet nie chce narzekać, za dwa tygodnie s...m stąd”.

„A kto jest temu winny? Niemoty, które rządzą województwem i w miastach. Ktoś kto coś znaczy, chce działać to ucieka jak najdalej z Lubelszczyzny. Ludzie przedsiębiorczy i z inicjatywą mają dość tutejszej ciemnoty i zakłamania”.

Przykro czytać te słowa. Jakże smutny byłby los Lubelszczyzny, gdyby wszyscy mieszkańcy prezentowali podobne postawy. Wówczas już chyba rzeczywiście trudno byłoby mieć jakąkolwiek nadzieję na lepsze jutro. Co mogłoby nas czekać? - całkowite wyludnienie? pustynny krajobraz? wojna domowa?... Lepiej sobie nie wyobrażać Na szczęście mieszkają tutaj też inni ludzie, zakochani w swojej małej ojczyźnie mieszkańcy, dla których jest ona jedyna i najważniejsza. Nie kochają jej „za coś”, ale dlatego, że jest ich. Widzą więcej zalet niż wad, chociaż słabości też dostrzegają. Cierpią, bo ona cierpi, ale są pełni wiary. O swojej ojczyźnie myślą sercem, ale też kierują się rozsądkiem. Jedni bardziej emocjonalnie, inni raczej racjonalnie i pragmatycznie. Są dumni z powodu posiadania takiej ojczyzny i budzą takie postawy u

innych. Mowa tu o badanych z grupy drugiej i trzeciej, którzy razem stanowią zbiorowość wcale niedużo mniejszą od tej, która ma negatywny stosunek. Być może to właśnie w nich tkwi największa siła - trudno powiedzieć, ale ich słowa wydają się niezwykle budujące:

„Moja mała ojczyzna Lubelszczyzna postrzegana jest jako wielka prowincja bez perspektyw. Dla mnie jednak jest to miejsce niezwykle, jedyne, w którym czuję się bezpiecznie. Jest enklawą przyjaciół, rodziny, oazą pięknej przyrody. Tutaj odnajduję spokój i energię. Owszem, brakuje mi otoczki i atmosfery wielkich aglomeracji, wydarzeń kulturalnych, ale najczęściej są to tylko chwilowe pragnienia. Mam świadomość, że otaczająca mnie rzeczywistość nie jest idealna, ale jednocześnie wiem na pewno, że w innej nie potrafiłabym się odnaleźć”.

„Wielką wartość moich rodzinnych stron upatruję właśnie w ich zdystansowaniu wobec „Centrum” naszego kraju. Ludzie są skromni, życzliwi, bezpośredni w obyciu, co zapisuję im na plus. Żyją swoim życiem i cieszą się nim w pełni, i nie myślą tak często jak zdają się to czynić to ci z „Centrum”, że wielki świat mija ich gdzieś obok. Sami mają w sobie dość energii i radości, dlatego nie potrzebują być w miejscu znaczących wydarzeń. [...] Możemy być dumni z naszego regionu [...] Właściwie każdy mógłby powiedzieć podobnie o swoim zakątku Ziemi, ale ja nie mogę się uwolnić od tych krajobrazów. Nie zamieniłbym chyba tych wszystkich pagórków i wąwozów, żółtych pól rzepaku pod błękitnym, letnim niebem na żadne inne. Mieszkamy w jednej ze spiżarni karmiących ten kraj; wydaje mi się to być czymś niesamowitym. Tego może nam zazdrościć „Centrum”. Cechą wyróżniającą Lubelskie, w przeciwieństwie do np. Wielkopolski, czy Pomorza jest przewaga mniejszych plantacji i większe „pokaźkowanie” ziem uprawnych, co daje niezwykle urokliwe efekty wizualne [...] Zresztą walory turystyczne są dość powszechnie znane. Kazimierz i okolice to jednak zupełny unikat, podejrzewam, że w skali przynajmniej kraju. Za to właśnie najbardziej lubię tę prowincję. Tutaj jestem u siebie i tutaj czuję się najlepiej. [...] Nie mam, jak przypuszczam, żadnych kompleksów



📷 Tomasz Młynarczyk

związanych z moim miasteczkiem. Nie brakuje mi teatrów i kin, bo wiem, że byłyby tu nie na miejscu. Zresztą mamy tu lepsze „widowisko”. Przepenia mnie radość i duma ze szczęścia, jakie spotkało mnie i moich współmieszkańców. Nie każdy może mieszkać w Kazimierzu. Zawsze, gdy z kimś rozmawiam i mówię, że jestem stąd właśnie, mój rozmówca wyraża wielki, bezkrytyczny podziw dla mojego miejsca zamieszkania. Doceniam to, choć wiem, że nawet tu nie jest wcale tak różowo. No cóż, zawsze jest coś i wszystko ma więcej niż jedno oblicze...!”

„Sądzę, że społeczeństwo mojego miasteczka nie odczuwa i nie odczuwało kompleksu prowincji. Siedząc na rynku można spotkać w jeden dzień więcej osobistości ze świata kultury, polityki i biznesu, niż przez tydzień krążenia ulicami centrum stolicy. Lubelszczyzna też nie wypadła sroce spod ogona: barok nadwiślański, Czartoryscy, unia z Litwą, unikalność krajobrazu i przyrody. Nazwę Puławy nosi jeden z kraterów

Marsa [...] Mieszkając przez kilkanaście lat w innej części kraju, kiedy w prasie, radio, telewizji lub rozmowach poruszano tematy regionu mojego urodzenia, czułam jednocześnie radość, dumę i tęsknotę. Jako podsumowanie tej krótkiej wypowiedzi chciałabym zacytować podsłuchaną (niechący) rozmowę telefoniczną młodego człowieka: „Cześć, jestem w kulturalnym centrum wszechświata, zgadnij gdzie... tak, tak w Kazimierzu”.

„Mieszkając w „Polsce B” trudno nie mieć kompleksów. Kiedy odwiedzam inne, bliższe zachodowi regiony kraju, duże miasta, widzę różnicę „gołym okiem”. Podobnie w rozmowach ze znajomymi mieszkającymi w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu. Mieszkając tutaj mamy o wiele mniejsze możliwości znalezienia ciekawej pracy, uczestnictwa w ciekawych widowiskach artystycznych, sportowych itp. Tu życie płynie wolniej, czuć stare czasy, stare sposoby załatwiania spraw. Trudno być

anonimowym, wszędzie nepotyzm, układy. Do lekarza najlepiej trafić z polecenia znajomego, załatwić sprawę w urzędach-podobnie. Boli bieda lubelskich wsi, boli niższy poziom życia. O różnicach w zarobkach tu i tam trudno nawet wspominać, bo dzieli je przepaść. Można szukać swojego miejsca gdzie indziej, ale przecież nie wszyscy mogą stąd wyjechać! Jedyne co mnie trzyma to duma z tego jedyne na świecie miejsca. Lublin to taki Kraków wschodu. Dzięki temu, że tu życie płynie wolniej, możemy czuć się bardziej bezpiecznie.

Mamy czas na życie rodzinne, towarzyskie. [...] Mamy także słowa, które nie są znane gdzie indziej. Tak! Jestem zakompleksioną, dumną ze słowa „Ciapy” Lubelszczanką!”

„Moim zdaniem Lubelszczyzna ma wysoki potencjał w sobie. Mówiąc o wadach i zaletach należy przytoczyć takie słabości jak problem bezrobocia, można powiedzieć, że jest to region brudny, choć znam brudniejsze, można czasem odczuć płynące od mieszkańców uczucie smutku, pewnej niemocy, ludzie chodzą jak sparaliżowani, są bardzo przyjaźni lecz za mało uśmiechnięci. Tak więc uśmiechnijmy się, a inni uśmiechną się do nas. Może coś pięknie [...] Należy pamiętać, że nie jest winą władz terytorialnych, że jest to czy tamto. Każdy z nas ma jakieś miejsce, na którym stoi, niech najpierw zrobi wszystko, co potrafi najlepiej obok siebie i rozejrzy się czy przypadkiem komuś nie trzeba pomóc. Ludzie za mało robią dla własnego rozwoju i przez to możemy odczuwać lenistwo i tę niemoc [...] Uważam, że Lubelszczyzna jest w cenie, ale nie potrafi się cenić dlatego jest uważana za Polskę „B”[...].”

Takie słowa niewątpliwie mogą podnieść na duchu i poruszyć niejedno skamieniałe serce. Przyznam, że kiedy je czytam, sama coraz bardziej się uskrzydlałam i nabieram wiary. Trudno ukryć wzruszenie, nawet łza mi się w oku kręci... Podziwiam ich autorów, a nawet im trochę zazdroszczę. Ja chyba nie jestem aż tak bez pamięci zakochana w tym regionie, chociaż wydaje mi się, że teraz moje serce zaczyna bić coraz głośniej. Owszem, doceniam walory, ale też patrzę krytycznie i nieraz aż mi się chce krzyknąć głosem rozpaczki. Pewnych rzeczy nie

mogę zupełnie tu zaakceptować, działania wielu grup osób wydają mi się bezsensowne. Czasem jestem nawet zła, że przyszło mi tutaj żyć i jestem „naznaczona” gorszą marką. Odczuwam kompleks z tego powodu, ale też, podobnie jak niektórzy respondenci, doświadczam poczucia dumy, kiedy przywołuje pozytywne obrazy i do głosu dochodzą uczucia, wspomnienia klimatu domu rodzinnego, w którym się urodziłam i wychowałam, prostych prawd życia, które poznawałam właśnie tutaj poznałam od rodziców i nauczycieli, czułości bliskich, niepowtarzalnego zapachu przyrody, czy smaku regionalnych potraw. I chociaż dręczą mnie różnego rodzaju niepokoje, jak wielu mieszkańców „regionu na prowincji”, to mam duże poczucie odpowiedzialności i potrzebę czynienia czegoś, by było lepiej, tym bardziej, że jestem świadoma coraz gorszej kondycji.

Chciałabym, aby ten mój tekst sprowokował szerszą dyskusję na poruszony temat i zainspirował mieszkańców i władze do działań sprawczych na rzecz obrony Lubelszczyzny przed skalowaniem jej wizerunku oraz budowania lokalnej wspólnoty przepojonej większym poczuciem lokalnego patriotyzmu i dumy regionalnej.

Nasza mała ojczyzna potrzebuje dziś wielkich, rewolucyjnych zmian, ale też i małych „dobrych uczynków” każdego z nas. Niech to będzie mały krok „do przodu” - gest przyjaźni, zaufania, dobre słowo. To niewiele kosztuje i każdego na to stać. Jeśli nie możemy, nie potrafimy czynić nic wielkiego to chociaż nie pozwalajmy jej tak „opluwać”. Myślmy pozytywnie i mówmy o niej więcej dobrych słów. Może to właśnie nasze ciepłe słowa okażą się mieć moc uzdrawiającą. Na pewno warto spróbować, by się o tym przekonać.





fol. Waldemar
Wylegański

ZBIGNIEW DMITROCA

Pierwsza ballada opłotkowa. Basiaczka przemówiła

Basiaczka Romkowa baba
nie powiem niczego sobie
jak się odstrychnie w niedziele
i dyrda na msze do miasteczka

Zanim poszła za Romka
co tyż nie wyliva za kołnierz
z pierwszym się chłopem rozwiedła
i bidny sie przez to powiesił

Wszystkie jij to pamientajo
bo co on chłopina był winny
że pił i bił Nie on jeden
No po co wlec chłopca do sądu

Romek miał niby być lepszy
ale i on awanturny
Jak sobie co z rana nie ćwiachnie
chodzi skwaszony i brecha.

Nie żeby znowu był na nic
robotny ci on i zawzinty
a jak by go odziać w garnitur
to nikt by nie poznał że ze wsi

Romkowa trzyma sie z boku
wstydliva czy musi niemota
i mało kto wi na wiosce
jakżeż sie zwie ta Basiaczka

Aż tu ci raz na przystanku
przemawia jak mocno uczona
że ona nie lubi jak w mieście
mówio do dziecka Tereso

Wole powiada Basiaczka
jak mówim u nasz Tereska
Bo to jakoś je ładnij
tak mie sie wiency podoba

Somsiadkom mowe odjęło
z wrażenia że tak sie mondruje
zupełnie jak nieromkowa
rychtyk jak jaka jehowa

Przytakiwały Romkowej
jak ksiendzu na spowiedzi
choć to sie we łbie nie mieści
że można tak myśleć na darmo



NATALIA JULIA NOWAK

HydroMonolog

Uciekasz przez szpary w mych dłoniach,
choć mocno dziś palce zaciskam:
udajesz, że znikasz na chwilę,
lecz nigdy Cię już nie odzyskam.

Umykasz jak leśna zwierzyna,
przy łowcy niedawno stojąca...
Ach, na nic się zdało czekanie,
euforia beztroską płonąca!

Pragnęłam Cię posiąść na wieki,
gdyż zawsze za Tobą tęskniłam:
marzyłam, by odkryć Twe smaki
i chwilą bliskości cieszyłam.

Niestety - zapragnął przypadek,
by z oczu pociekła dziś rosa...
najgorsza jest bowiem tęsknota
za rzeczą zabraną sprzed nosa!

Backmasking

Niewielu słyszało o fakcie,
że pieśni od końca słuchane,
zdradzają niekiedy przesłania,
szerokiej publice nieznanne.
Polega to na tym, iż głoski
składają się w inne wyrazy:
stąd biorą się w pieśniach niewinnych
dziwaczne i czasem złe frazy.

Na przykład w piosence Bitelsów,
słuchanej "od prawej do lewej",
możemy usłyszeć głos ludzki,
mówiący, że "Paul is a dead man".
W utworze B. Spears jest wiadomość
słyszalna przy wstecznym nagraniu:
"Śpij ze mną, nie jestem zbyt młoda"...
Cóż sądzić mam o tym nagraniu?!

Niektórzy wciąż głoszą, że teksty
nagrane wspaniałą niszczą psychikę --
stąd sprzeciw dla ludzi, tworzących
niewinną z pozoru muzykę.
Zdarzają się również wywody,
iż rock jest narzędziem szatana:
wszak nieraz go chwali zła fraza,
"lustrzana" metodą nagrana.



ARTUR ROGALSKI

POGRANICZA, CZYLI PAN TADEUSZ PO PODLASKU

Obserwując rodzimą prasę dochodzę do wniosku, że termin „białe plamy” powoli odchodzi do lamusa. Coraz rzadziej się go używa, po wyjaśnieniu kulisów wielu dziejowych dramatów przestaje być potrzebny. Szkoda. Trochę źle się stało, że zwrot ten niejako zarezerwowano dla historii najnowszej. A w praktyce mieszkańiec naszych terenów, czyli niegdysiejszego pogranicza podlasko-mazowiecko-małopolsko-litewskiego o dziejach swej małej ojczyzny nie wie nic albo prawie nic. Ba, nawet tak naprawdę sam nie wie dokładnie gdzie mieszka i za włodarzami z Wiejskiej powtarza: na Podlasiu, na Lubelszczyźnie, na Mazowszu (o Litwie nikt taktownie nie wspomina). Bieżące potrzeby administracyjne całkowicie wzięły górę nad historią. No i przyznać trzeba, że w badaniach historycznych nad naszym regionem białych plam i plamek nie brakuje. A historia może i nie jest tak do końca *magistra vitae*, ale bywa w owym życiu bardzo przydatna. Jestem przekonany, że lepiej by nam się żyło gdyby miała faktyczny wpływ na życie dzisiejsze, nie tylko polityczne warszawsko-krakowskie, ale i radzyńsko-siedleckie, białsko-lukowskie, liwsko-drohiczyńskie itd. itp. Gdyż, co akurat w naszej Rzeczypospolitej wszyscy bardzo dobrze wiedzą, fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki i odwrotnie. Ha! dziwnie się czuję przekonując do historii, bo Polacy to przecież naród historyków i medyków, i każdy, jak kraj długi i szeroki, na te dwa tematy ma coś do powiedzenia (stąd też osobnik dysponujący prawdziwym wykształceniem historycznym często gęsto podczas towarzyskich debat ma do wyboru albo bronić historycznych imponderabiliów do końca, albo salwować się ucieczką).

Już samo zestawienie krain historycznych zbiegających się w punkcie pomiędzy Białą Podlaską, Radzyniem, Liwem i Drohiczyńnem obiecuje potencjalnemu badaczowi nie lada kąsek. To prawdziwy tygiel kultur, religii, nacji. Polacy, Tatarzy, Niemcy,

Szkoci, Rusini - słowem - wielobarwna Rzeczpospolita w pigułce. Istne pogranicze! A słowo „pogranicze” w odróżnieniu do „białych plam” nadal jest bardzo modne i odmieniane przez wszystkie przypadki. Pogranicza literackie, mentalne, społeczne etc., etc. odnajdują się cudownie w tych miejscach gdzie żadnego pogranicza nigdy nie było. Ale moda to moda, jak trzeba nosić mini to wszyscy, nie tylko Jenifer Lopez, ale i babcia Piegłasiewiczowa. Lecz kto jak kto, ale mieszkańcy terenów pomiędzy Wieprzem, Liwcem a Bugiem są dziedzicami prawdziwej kultury pogranicza i mają może największe prawo w dobie obecnej czuć się jej spadkobiercami i depozytariuszami.

Tylko jak tę kulturę odtworzyć i opisać? Druga wojna światowa oprócz masakr wyrządzanych człowiekowi przez człowieka była także jedną wielką masakrą wyrządzoną przez człowieka historii. Nasz region odczuł to szczególnie boleśnie. W pierwszej połowie wieku XIX archiwalia z terenu ówczesnego Województwa Podlaskiego (a więc także z Radzynia) zebrano w stolicy tegoż województwa, czyli Siedlcach. Jednak pod koniec tego samego wieku dokonano akcji scaleniowej; regionalne archiwa historyczne zlikwidowano a ich zasób przeniesiono do Archiwum Akt Dawnych w Warszawie, gdzie leżały sobie spokojnie przez nikogo nie ruszane, aż do spalenia ich przez Germanów w 1944 roku. Nieco inaczej los obszedł się ze z archiwami i bibliotekami z Podlasia faktycznego, które do wojny spoczywały w Drohiczyńnem. Pewnego słonecznego poranka przyjechały sobie ciężarówki, wyskoczyli bojcy, zabrali papiery i książki i tyle ich widziano. Tak się jakoś fikuśnie złożyło, że tylko część archiwaliów pozostałych na gruncie lokalnym nie objętych późniejszą akcją scaleniową jakoś przetrwały wybryki chłopaków Józia i Adzia. Cóż, to kamień do ogródka wszelkiej maści zwolenników „akcji centralnych”, których i dzisiaj nie brak. Kiedy słyszę jak podczas otwarcia ekspozycji



📷 Tomasz Młynarczyk

„Ekstazy św. Franciszka” w Siedlcach dziennikarka „Rzeczypospolitej” publicznie postuluje przeniesienie El Greca i co cenniejszych zbiorów siedleckiego Muzeum Diecezjalnego do Warszawy, wówczas dopiero w pełni uświadamiam sobie, że w porównaniu z ignorancją postmodernizm to pestka.

Brak szczegółowych badań, ale też brak umiejętności stworzenia odpowiedniego modelu, a przede wszystkim uzupełnienia go odpowiednio barwną treścią, jak na razie stanowi podstawową przeszkodę w syntetycznym ujęciu dziejów miast i miasteczek pogranicza. Specyfika tychże jak dotąd wymyka się próbom ujęcia ich dziejów w karby historycznej narracji. Dotychczasowe publikacje traktują rzecz albo zbyt ogólnikowo albo rozbijają się w gąszczu mało istotnych szczegółów. Istna kwadratura koła. Zabawne, ale pomimo fali XX-wiecznych publikacji traktujących o dziejach miast polskich najbardziej plastyczny model dziejów małego miasta wyszedł w połowie wieku XIX spod pióra Juliana Bartoszewicza: „Kiedy takim sposobem małe miasteczko porzuci swą spokojność, w której się ukrywało przed okiem

dziejowem, zaczną około niego grupować się wypadki a miasteczko historyczne już teraz zacznie się zdobić nowymi wspomnieniami. Buduje się, rozrasta, stawia mury na swoich ulicach, myśli o życiu ducha i zakłada szkołę, szpital a nawet zamek. Dotąd modliło się w jednym kościele u fary, mieściło się w nim całe, a nawet wieśniaków przyciągało z okolic, dzisiaj już mu nie wystarcza starożytna budowa świątyni. Znajdzie się ktoś zatem, co zbuduje w miasteczku klasztor i sprowadzi do niego zakonników. Władza biskupia, poparta władzą rzymską, nadaje miasteczku odpusty, a ojczyzna przywileje, prawa, jarmarki. Czasem miasteczko robi się przez to dumniejsze. Stawia nowe kościoły, zamek swój okopuje wałami, otacza fosą. Do kościołów zaprowadzają się bractwa, to Różańcowe, to św. Anny, to Bractwo Miłosierdzia, to bractwo na cześć Bogurodzicy. Zaczynają się procesje po ulicach a nieraz spory pomiędzy bractwami [...]. Więcej jeszcze rozmaitości, więcej zapалу, ognia, kiedy w miasteczku zejdą się dwa nieprzyjazne obrządki, co pozornie kochają się a w sercu nienawidzą. Gorzej, kiedy reforma z Niemiec zaleci i zarazi całe

miasteczko. Socynianin kłóci się wtenczas z Arianinem, ewangelik z reformowanym, katolik kłóci się ze wszystkimi. Pokazują się Jezuita w miasteczku. Bogaty pan dziedzic miejsca albo właściciel sąsiednich kluczów, zapalony dla czci bożej, gorliwy, pobożny, buduje nowy klasztor i kościół dla Jezuitów, nadaje im fundusz i zaprowadza szkoły. Roją się do bohem młodzieży kolegia jezuickie; dzieci to wszystko szlachty z okolic, paniątka, co mają niegdyś odgrywać rolę w Rzeczypospolitej. Za nimi tłumy się włoką pauprów, szlachty biednej i podupadłej, co służąc paniątkom, myślą i o nauce i o przyszłości. Wszystkich zapala religijny fanatyzm [...]. Walki po ulicach codzienne. Życie gra wszystkimi siłami. Pełno ruchu wszędzie. Oto pojawia się w miasteczku i drukarnia, a walka już nie tylko na ulicy, ale i na papierze. [...] Narazie cała Rzeczypospolita zwraca uwagę w tę stronę [...] sprawę miasteczka wnoszą na sejm, komisje sejmowe dają nakaz wysłędzić rzecz na miejscu. [...] Nastają wojny, pożary i klęski, konfederacje wojskowe, nadchodzą strony przeciwne do miasteczka. [...] Klęski coraz częściej spadają. Pożary i kontrybucje a czasem i nieprzyjaciel zagraniczny podkopują znaczenie miasteczka, które coraz więcej upada [...]. Po przejściu groźnej burzy na miejscu niegdyś sławnym zostają rozwaliny i gruzy”.

Ale nie tylko badania nad miastami naszego regionu wymagają rekapitulacji. Czasem całe epoki jawią nam się jako białe plamy. Przykład pierwszy z brzegu: nie wiedzieć czemu w historiografii regionalnej burzliwy okres Księstwa Warszawskiego prawie nie istnieje. Rzućcie okiem na jakąkolwiek monografię, czy to Siedlec, Radzyna, Węgrowa, Łukowa - dobrze, jeśli znajdą się tam dwa - trzy akapity na temat lat 1809 - 1815. Czemu akurat ten wycinek historii przyszedł mi na myśl? Bo to, moi mili, okres narodzin i, jak by to ująć, jednocześnie czas emancypacji naszego pogranicza. Do 1810 roku tereny, których później stolicą stały się Siedlce a pomniejszych centrami Radzyń, Biała, Łuków, Węgrów etc. leżały na krańcu Podlasia, Mazowsza, Małopolski czy Litwy. Ot, miściny na końcu świata i tyle. Z rzadka przyjeżdżali tu z Warszawy, Paryża czy Wiednia przedstawiciele grup trzymających władzę (i pieniądze), by szybko powrócić do wartkiego nurtu życia ówczesnego świata. Szczęśliwie były te miasta, których właściciele (o ile nie były to miasta królewskie) przemieszkiwali tam na dłużej (właśnie Radzyń i Siedlce). Na miejscu życie biegło w oderwaniu od problemów wielkiej polityki, a obywatele naszego pogranicza nawet dla mieszkańców stolic swych województw byli tak odlegli, że aż egzotyczni.



U schyłku I Rzeczypospolitej dla zacnego Lublina drobna szlachta z Ziemi Łukowskiej i sąsiadującego z nią Podlasia to byli niemal Tatarzy; kiedy zbliżał się termin posiedzeń Trybunału lub sejmiku zatrwożeni Lubelacy barykadowali się po domach, a matki straszyły dzieci „szlachcicem łukowskim”. Trochę nie bez przyczyny. Nie wierzycie? to posłuchajcie: „Na łąkach po prawej stronie grobli [...] niezmierny obóz jak koczowisko hordy Tatarów, którym się zabłąkitniała cała ogromna przestrzeń. Ujrzeliśmy białe namioty, szatry na kijach płachtami okryte, budy z gałęzi, przed nimi gorejące płomieniem ogniska, przy których zarzynano i pieczono na rożnach całe ćwierci wołów. A w środku, to przy stołach, to przy zydlach, to na ziemi w kuczkach siedzące tłumy i pożerające strawę. Inni przy beczkach piwa i miodu, przy kuflach gorzałki, z wrzaskiem i hałasem, szklankami, garnkami, dzbankami raczący się trunkiem i wykrzykujący wiwaty. Były i koła próbujące pałaszów i ścinające się w nie. Tabor kilkuset koni past się i wałęsał między tą zgrają, a rozstawione powózki podlaskie w liczbie kilkuset, jednokonne, hołoblami do góry, otaczały po bokach i formowały tabor. Co to jest? zawołał mój ojciec potkawszy kilku szlachty na grobli; ci odpowiedzieli: To partia podlaska naszego księcia”. Ale, ba! Żeby tylko sobie biwakowali pod miastem, konsumowali i pili. W samym Lublinie było nieporównanie weselej: „Nie ma bezpieczeństwa żadnego, głowy bez obawy porąbania wychylić nie można na ulicę, musiano w mieście i na żydach pozamykać sklepy, szlachta je odbija i rabuje, spotkawszy słusznego obywatela [...] zrabowała go, [...] chorążego lubelskiego Poniatowskiego, napastowała na ulicy, mecenasowi i obywatelowi osiadłemu Podhorodeńskiemu okna wybiła, etc., etc., etc.”. Takie wspomnienia wryły się w pamięć kilkunastoletniego Kajetana Koźmiana. Myliłby się jednak ten, kto uznałby, że były to tylko wybryki figlarnego wieku XVIII, a „górnny i chmurny” wiek XIX przytłumił temperamenty. Jak sądzicie, z jakiego okresu jest poniższy cytat? „Kościół [...] stanowił salę elekcji, w celach rozłożyliśmy się, a wielki refektarz był salą jadalną, gdzie

ciągle jedzenie być musiało dla znamienitszych, a po dopełnieniu elekcji obiad poselski, liczny, bo z górą osób sto do stołu zasiadało. Trzeba też pamiętać o szlachcie mniejszej. Traktament dla niej czas Wielkiego Postu regulował do śledzi i bułek, i wódki ad libidum (do woli). Ta też wódka rozgrzała umysły, przyszło do przymówek i walki czynnej stronnictw [Zawadzki] przyjęty źle, bracia szlachta ujęli się za nim, zrobił się tumult w kościele, w miejscu wyborów. Nazajutrz likwidacja pretensji do elekta, bonifikacje przyjaciołom za potraczone w zamieszaniu czapki, kapoty, płaszcze”. Wydaje się, że to dalszy ciąg XVIII-wiecznych wspomnień Koźmiana, prawda? A te wydarzenia odnotował w 1822 roku (!) w podlaskim Węgrowie Prot Lelewel, brat sławnego Joachima.

Ale wróćmy do naszego pogranicza. Dopiero administracja napoleońska dokonała rzeczy z perspektywy czasu dla mieszkańców naszych terenów niezwykle ważnej: scaliła owe terytorialne „ogony” w odrębny samoistny region - departament siedlecki. Mogła śmieszyć posklejana z różnych kawałków nowa jednostka administracyjna, mógł bawić awans Siedlec, małego miasteczka, niewiele większego od swych powiatowych pobratymców, wreszcie mogło gorszyć umieszczenie go w jednym rządzie z Warszawą, Krakowem, Lublinem czy Poznaniem, ale stało się. I dobrze się stało, bo nowe centrum, jakkolwiek ubogie i ustępujące większym miastom pod wieloma względami, jednak dobrze odpowiadało potrzebom mieszkańców. Najważniejsze i najbardziej widoczne zmiany zaszły w sądownictwie. Pierwszą w regionie co do rangi instytucją stał się założony w 1810 r. siedlecki Trybunał Cywilny, po miastach powiatowych ustanowiono sądy pokoju, notariuszy i konserwatorów hipotek. Odtąd szlachcic czy mieszczanin radzyński, gdy chciał zawrzeć jakąś umowę szedł do miejscowego notariusza, gdy zaś chciał się sądzić, o ile nie pogodził się z adwersarzem na miejscu, w sądzie pokoju, musiał jechać do Siedlec. Może i odległość nie była dużo mniejsza niż do Lublina, ale sprawy szły tu i szybciej, bo było ich nieporównanie mniej, niż np. w Trybunale Lubelskim

(a co dopiero mówić o starym Trybunale zawalonym sprawami z połowy kraju!) i składniej niż w dawnych czasach (bo sądzono według świetnego napoleońskiego kodeksu). Ale sądy sądami, urzędy urzędami. Codzienne życie mieszkańców podlaskiego pogranicza - jak i zresztą całego Księstwa - toczyło się wówczas jak w barwnym kalejdoskopie. To przecież czasy „Pana Tadeusza”, żywa jest pamięć o dawnej Rzeczypospolitej, pobrzmiwają jeszcze echa rywalizacji pomiędzy „elegantami” a „kontuszowcami” (ci ostatni już na straconej pozycji, dawny strój i obyczaj szybko odchodzą do lamusa), jedni chwalą nowe czasy, inni ganią, trwają rozliczenia poaustriackich wierzytelności, co chwila zamieszanie z napoleońskimi ustawami, proboszczowie sarkają na nowe obowiązki, szlachta próbuje odbić się od gospodarczego dna, wszędzie wokół pełno mundurów wojska i urzędników. Niestety, ta epoka skończyła się dla Pogranicza tak nagle jak i się zaczęła. A dla dwóch miast nowego departamentu - Radzyna i Białej - skończyła się niemal symbolicznie. W roku 1813 zmarli tragicznie książęta Aleksander Sapieha (właściciel Radzyna) i Dominik

Radziwiłł, ostatni ordynat nieświesko-ołycki (właściciel Białej). Obaj związali swe losy z Napoleonem i obaj zginęli u kresu Wielkiego Cesarstwa.

Jak wyglądał początek XIX wieku w naszym regionie - nie wiemy zbyt dobrze. A waga tamtego okresu jest dla nas większa niż wielu wcześniejszych i późniejszych dekad. Fakt, dużo materiałów z tej epoki poszło z dymem, lecz troszkę się jednak zachowało. Nie jest tak, że dla tych czasów pozostaje nam tylko domysł lub hipoteza. Lecz nie tylko brak źródeł ma tu znaczenie. Przed 1989 rokiem historia lokalna i regionalna była mało ważna, wszak wszystko należało rozpatrywać z perspektywy globalnej. Poważni historycy z pobłażaniem traktowali działania regionalistów, historią lokalną zajmowali się od wielkiego dzwonu, a regionaliści pozostawieni samym sobie, bez metody i odpowiedniego warsztatu nie wychodzili poza amatorskie przyczynki. Dopiero od niedawna można zauważyć zmianę frontu. I właśnie bodaj po raz pierwszy w Radzynie Marek J. Chodakiewicz zaczął publicznie zwracać uwagę na konieczność przywracania do łask badań mikroregionalnych. Gwoli

temu postulatowi spróbujemy teraz naszkicować obraz Radzyna na początku wieku XIX, z naszej regionalnej perspektywy.

Cdn.



Tomaz Młynarczyk